

Andrzej Domagalski

Kraków

Jacek Kleyff i niezwykły Salon Niezależnych, kabaretowe „Tango Anawa” i Friedmanna szaleństwa w Hybrydach

Sześć lat istnienia Salonu Niezależnego zapisało się na trwałe w historii rodzimego kabaretu, a prym w tym zespole wiódł niezwykły Jacek Kleyff, swoisty mocarz ówczesnej prześmiewczej satyry. Z kolei Anawa najczęściej kojarzy się z Markiem Grechutą i Janem Kantym Pawluśkiewiczem, ale początki tej grupy sięgają kabaretu studentów architektury Politechniki Krakowskiej. Natomiast stołeczny krakus Stefan Friedmann we wczesnej krakowskiej młodości zapatrzył się w aktorskie popisy młodego Romana Polańskiego i po przeprowadzce do Warszawy stał się satyryczną potęgą, zwłaszcza w Hybrydach i Studenckim Teatrze Satyryków.

JACEK KLEYFF

Piękna legenda polskiej piosenki autorskiej – jeden z jej najwybitniejszych przedstawicieli. Legendarny bard, poeta, kompozytor, aktor kabaretowy i filmowy, malarz, z wykształcenia dyplomowany architekt, absolwent warszawskiej Politechniki. Urodzony w 1947 roku w Warszawie, syn architekta i wykładowcy akademickiego Zygmunta Kleyffa, w 1969 roku wraz z Januszem Weissem i Michałem Tarkowskim założył kabaret Salon Niezależnych. Przez sześć lat istnienia Salonu trójka oryginalnych autorów i wykonawców cieszyła się niezwykle popularnością wśród widzów złąknionych inteligentnej

rozrywki. Od 1986 roku jest wokalistą i muzykiem zespołu Orkiestra Na Zdrowie (ONZ), z którym koncertuje i nagrywa płyty

Salon Niezależnych był adresowany głównie do pokolenia Marca 1968. Artyści w trójkę stworzyli zjawisko wykraczające daleko poza rozrywkową formułę kabaretu (określane nawet mianem antykabaretu), stanowiące jeden z nielicznych kontrastów na tle ówczesnej propagandy sukcesu. W pierwszej połowie lat 70. XX wieku ich piosenki (m.in.: *Dobre wychowanie*, *Balon*, *O niespełnionej miłości na terenie magazynu kółka rolniczego*, *Sejm*), niedostrzegane przez oficjalne media, były przegrywane metodami domowymi i śpiewane w kręgach znajomych. Niektóre zawarte w nich zwroty przeszły do języka potocznego i funkcjonują w nim do dziś. Większość tekstów i kompozycji tego zespołu jest autorstwa właśnie Kleyffa. W latach 1970–1976, wraz z Salonem Niezależnych, zdobył trzykrotnie Złoty Trójęzab Neptuna na kolejnych FAMACH w Świnoujściu. W 1972 roku wygrał IX Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie i zdobył Złotą Szpilkę na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Bez piosenek Jacka Kleyffa nie byłoby po prostu Salonu – stanowiły jego najbardziej błyskotliwą część.

Kleyffowe piosenki, tekstowo i muzycznie, wносиły nowy ton do poetyki kabaretowej. „W kabarecie Jacek był jeden, niepowtarzalny – ocenia Tadeusz Nyczek, kronikarz kabaretu, w książce *Salon Niezależnych. Dzieje pewnego kabaretu*. – Żywioł, furia i liryka. Wieloczynnościowa maszyna do rozśmieszania, wzruszania, zagrzewania, zdolna do wymyślania najbardziej abstrakcyjnego i najbardziej bolesnego wyznania”. Współtworzył jeden z najbardziej niebezpiecznych dla komunistycznej władzy kabaret w Polsce. Do tego stopnia, że dostał zakaz występowania, ale potrafił go omijać. Jacek Kleyff – według Nyczka „drapieźnik, wilk i rosomak piosenki” – potrafił pisać dla Salonu niepowtarzalne frazy, żeby wspomnieć piosenkę *O niespełnionej miłości*... o obiektywnych trudnościach cielesnego pożycia w warunkach magazynu wiejskiego kółka rolniczego z fragmentem: (...) „On: ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, ma truskaweczko,/Ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, zrobię ci dziecko./A ona: ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, a róbże, róbże,/Ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, na tej tekturze (...)”. Kleyff jest nie do powtórzenia w swoich kabaretowych tekstach, bo kto poza nim mógłby napisać taką chociażby frazę: „(...) Kolejowa poczekalnia:/Mnóstwo

paczek i walizek,/Siedzą ludzie, ot, zwyczajni,/Siedzą, patrzą na...
ogryzek.//Baba z bańką na kolanach,/Myśląc długo o odpadzie,/
Wie, że była zakochana/Kiedyś pod renetą w sadzie (...)" (*Kolejowa
poczekalnia*). Miał niebywały talent do kreowania zwartych aneg-
dot, tworzenia opowieści o logicznej fabule i określonym przesłaniu.
Dar wymyślania historyjek do śpiewania, porównywalny do talentu
Młynarskiego.

Od 1976 roku, po zamknięciu Salonu Niezależnych, Jacek Kleyff
poważnie zajął się malarstwem. W latach 1981–1985 mieszkał na wsi
pod Lublinem, gdzie powstały zręby Orkiestry Na Zdrowie. Jest auto-
rem ponad połowy tekstów i kompozycji tego zespołu. W 1995 roku,
wraz ze swoją Orkiestrą, zdobył Złoty Bączek, główną nagrodę czter-
dziestotysięcznej publiczności na festiwalu Przystanek Woodstock
w Czymanowie nad Jeziorem Żarnowieckim. Podczas 20. Ogólno-
polskiego Przeglądu Piosenki Autorskiej – OPPA 2002 w koncercie
gwiazd zdobył nagrodę publiczności za premierowy utwór *Już...
2002*. W 2004 roku ukazała się, wydana przez Polskie Radio Białystok,
płyta zatytułowana *Już*, a 5 lat później płyta *Znaki*.

Najbardziej znane piosenki Jacka Kleyffa to: *Telewizja* (1972),
Huśtawki (1973) oraz *Nie męcz mnie* (1974), wykonywane później
przez Kubę Sienkiewicza i Elektryczne Gitary. Na wydanej w roku
2002 płycie *Pan Yapa i magiczna załoga* aktor Krzysztof Janczak
zadeedykował Jackowi Kleyffowi utwór *Żółte eliksiry*.

Skład powstałego w 1986 roku zespołu Orkiestra Na Zdrowie:
Jacek Kleyff – lider, autor tekstów, śpiew, gitara akustyczna, bębny,
Jerzy „Słoma” Słomiński – perkusja, bębny, Daniel Słomiński – gitara
basowa, bębny, Sebastian Pikula – gitara elektryczna, syntezator gita-
rowy. *Znaki* to płyta prawie autorska – poza małymi wyjątkami Kleyff
jest autorem i kompozytorem wszystkich piosenek. W roli „lokomoty-
wy” Orkiestry Na Zdrowie artysta przeżywa drugą artystyczną młodość.
Dla Tadeusza Nyczka, kronikarza Salonu i przyjaciela artysty
Kleyff „(...) Zawsze chciał być z muzykiem (...). Śpiewa niemal
wyłącznie własne pieśni i piosenki, co robił także w Salonie i póź-
niej, już bez Salonu. Jedyne, co stracili jego fani, a stracili niemało,
to szanse bezpośredniego kontaktu z pierwszej wody kabaretowym
talentem komicznym, jednym z największych, jakie wydała powo-
jenna Polska. Bo Jacek z Orkiestrą Na Zdrowie, to poważny bard
spraw egzystencjalnych, filozoficznych, nie żaden dowcipniś. Taki

polски Bob Dylan, Leonard Cohen i Jacques Brel w jednej osobie”. Muzyka ONZ, jak określają sami członkowie zespołu, to: „naturalna muzyka do ruchu i do słuchu, silnie osadzona w rytmie”. Swoisty styl zespołu oparty jest na syntezie muzyki reggae z muzyką etniczną – są tu rytmy folkowe i rockowe. Skład zespołu zmieniał się wielokrotnie, występowało w nim gościnnie wielu muzyków, m.in. Antonina Krzysztoń, Kuba Sienkiewicz czy Aleksander Korecki.

– W pewnym momencie – opowiada Michał Tarkowski – Pan Bóg przystąpił do zrobienia kolejnego człowieka z serii wielu modeli, które już wypuścił. I mówi sobie: – Teraz wykonamy sobie takiego drobnomieszczanina, sknerę, gościa do unudzenia. Zaczął go robić, a tu telefon. Pan Bóg podszedł, porozmawiał chwilę, wraca. – Kogo ja robiłem? Aha, hipisa, nonkonformistę, rozrzutnika. Dokończył, całość skleił, i tak powstał Jacek Kleyff, mieszanka wybuchowych sprzeczności – przeczytać można w książce Nyczka.

– Jak się wydaje, polskie pokolenie `68 pierwszy raz zostało wyodrębnione w 1971 roku przez Marcina Wolskiego, autora piosenki *Dobre wychowanie*. Słowa: „Pokolenie Kolumbów, zetempowców, tubylców/ bardzo modne i trafne terminy/ lecz jak nazwać nas, młodszych,/ w ciągu trzech lat dorosłych/ od tej wiosny przedwczesnej do zimy (...)”, znakomicie oddawały nastroje młodych, których polityczne dojrzewanie rozciągało się między Marcem `68 a Grudniem `70. Piosenka śpiewana przez Jacka Kleyffa podczas występów kabaretu Salon Niezależnych budziła entuzjazm na widowni – komentował Piotr Osęka w książce *My, ludzie z Marca. Autoportret pokolenia `68*.

Utwór ten natychmiast stał się hymnem pokolenia i kolejnym znakiem firmowym Salonu. Odnosił sukcesy nie tylko jako fragment programu kabaretowego, ale samodzielny protest song. Jacek Kleyff ułożył do tego tekstu „taką rewolucyjną muzykę” – jak wspominał. I tą piosenką Salon Niezależnych wygrał festiwal w Krakowie, a telewizja nie puściła głównej nagrody. „I bardzo nam tym pomogła, dlatego, że się zrobił straszny szum. I ta piosenka momentalnie zrobiła karierę w nagraniach bezdebitowych. Poszła normalnie na cały kraj. Wszyscy ją znali” – wspominał.

Kleyffa zbyt długo kojarzono z nurtem studenckim. Poza tym traktowano go jako jednego z salonowców, ale nie jako samodzielnego twórcę i solistę. Kiedy założył Orkiestrę Na Zdrowie, uznano ją za „niszową”. Dla pary przyjaciół Jan Krzysztofa Kelusa i Kleyffa – manifestujących przyrodzoną im wolność, przez co skazywanych przez ówczesny represyjny system na przymusowe bezrobocie

– sezonowe zajęcie zbieracza szyszek z najlepszych jakościowo drzew iglastych zapewniało im przyzwoity zarobek, który pozwalał utrzymać się nawet w miesiącach wolnych od pracy. Artysta w swojej książce *Rozmowa* wspominał:

– Wcześniej zarabiałem występami, a tu w czasach zakazu występowania nagle zacząłem zarabiać trzy razy lepiej. Siedzisz w koronie sosny, w promieniu pięciu metrów od korony nie ma ani jednego zarazka, tak silne są olejki sosnowe. (...) Więc w takiej pracy masz doskonałą inhalację i gimnastykę. Inna rzecz, że przez non-szalancję i poddarty sweter doczekałem się reumatyzmu w biodrach. (...) Wybicie stawu barkowego też zaliczyłem raz na drzewie i musiałem zjeżdżać o jednej ręce.

Czekając na zaistnienie Orkiestry Na Zdrowie, Kleyff oprócz alpinistycznego zbierania szyszek, pracował ponadto na wysokościach, jak przytacza Tadeusz Nyczek, i „po ścianach biurowców śmigał jak wiewiórka”, mimo wrodzonego lęku wysokości.

W latach 80. minionego wieku Kleyff pojechał w Himalaje, przeżył przemianę duchową, gdy wrócił, stał się artystą kontrkulturowym, odnalazł swoją niszę w byciu niebieskim ptakiem swoistego gatunku, po prostu wypisał się z PRL. Potem założył grającą do dziś folkowo-reagge'ową Orkiestrę Na Zdrowie. Żyje, tworzy, realizuje się w myśl słów jego piosenki *Huśtawki* z 1973 roku: „(...) Raz tylko dany ci czas,/ ani on twój, ani czyj,/ z czasem się wszystko ustoi,/ Żyj na huśtawce, żyj (...)”.

W książce *Rozmowa* Jacek Kleyff mówi: „Ogólnie to nie wiem, czy dziś czuję się poetą; raczej rzemieślnikiem precyzji słowa w danym wzruszającym momencie życia”.

ANAWA

Legendarny kabaret architektów Politechniki Krakowskiej zawiązany został w grudniu 1966 roku, po kilku miesiącach zmienił jednak artystyczny profil, stając się zespołem akompaniującym Markowi Grechucie. W pierwszej fazie tworzyli go: Jan Kanty Pawлуśkiewicz, Marian Czuryło, Adam Pasternakiewicz, Ziemowit Pawлуśkiewicz, Michał Pawлуśkiewicz i Tadeusz Kalinowski, zaś na początku 1967 roku dołączył Marek Grechuta. Młodzi artyści styl swej działalności określali jako „sztukę jarmarczno-cyrkową, z przerwami na piosenkę

liryczną”, a samą nazwę kabaretu wywodzili z francuskiego: *en avant* (naprzód), tłumacząc jednak to słowo jako: do przodu, ale oglądamy się na tradycję. W swych przedstawieniach starali się łączyć elementy groteski, czarnego humoru i sztuki jarmarcznej.

W tym kabarecie powstały pierwsze utwory, tworzone wspólnie przez Grechutę i Jana Kantego Pawлуśkiewicza. „Ówczesne kompozycje miały nastrój liryczny (*Pomarańcze i mandarynki*) lub żartobliwy (*Tango Anawa*)” – wspomina Jan Kanty Pawлуśkiewicz. Równocześnie z kabaretem powstaje zespół muzyczny Anawa w oryginalnym składzie: Marek Grechuta (wokół), Jan Kanty Pawлуśkiewicz (fortepian), Zbigniew Wodecki (skrzypce), Anna – wtedy Wójtowicz – później Pawлуśkiewicz (wiolonczela), Tadeusz Dziedzic (gitara), Tadeusz Kalinowski (perkusja i konferansjerka), a w 1969 roku występują w nim: Jan Kanty Pawлуśkiewicz, Marek Grechuta, Tadeusz Dziedzic, Anna Wójtowicz, Tadeusz Kozuch, Jacek Ostaszewski.

– Przaśne lata 60. Studia na krakowskiej architekturze – wspomina Tadeusz Kalinowski, zmarły w marcu 2021 roku architekt z wykształcenia, grafik z upodobania – idą nam lekko. Akademik na Bydgoskiej; Janek Pawлуśkiewicz – przyjaciel od samego początku – razem mieszkamy w jednym pokoju przez kilka lat. Marek Czuryło – wilnianin z Torunia, kinoman, właściwie kinomaniak, zalicza kilkaset filmów rocznie; Adaś Pasternakiewicz – wyrafinowany złośliwiec. I ja, Tadeusz Kalinowski – fanatyk jazzu. Zaczęliśmy organizować różne spontaniczne akcje, happeningi. Ideałem rozrywki była, oczywiście, Piwnica pod Baranami. Szukaliśmy pomysłów na nudę. Kabaret. Robimy kabaret. Grzebanie po starych pismach w Jagiellonce, pierwsze szkice własnych tekstów, czytanie: Mrozek, Słonimski, Tuwim, no i podążanie szlakami przetartymi przez Piwnicę. Nazwę Anawa wymyśliłem ja od *en avant* – Anawa z akcentem na ostatnim a – śmiało do przodu, jak zapowiadałem na występach. Pomieszanie poezji z teatrem podwórkowym, cyrkiem, tandetą. Precz z pompatycznością i krakowskim „ę” „ą”. Precz z modną awangardą (czarne swetry i protest songi, fałszywa polityczność i pseudoodwaga). Próby przebiegały w różnych miejscach, na przykład przy piwie w Barze Litewskim. Właśnie wtedy pojawił się młodszy o kilka lat Marek Grechuta. To był dla nas moment najważniejszy. Markowi nie wyszły plany stworzenia kabaretu o profilu poetycko-romantycznym. Szukając możliwości realizacji swoich pomysłów, dogadał się z Jankiem i tak zupełnie niespodziewanie powstał jeden z najwspanialszych tandemów twórczych w historii polskiej, nie tylko piosenki, ale i polskiej kultury. Piosenki Grechuty – Pawлуśkiewicza (Marek komponował i śpiewał – Janek komponował i aranżował) – to był hit! Potrzebnych muzyków znaleźliśmy w szkole muzycznej – prześlizną wiolonczelistkę Anię Wójtowicz [później Pawлуśkiewicz,

żona brata Janka, Michała, zmarła pięć dni przed Kalinowskim – AD], skrzypka Kazia Skowrona. Pierwszy występ kabaretu miał miejsce w grudniu 1967 roku w krakowskim Domu Harcerza w Parku Jordana. W programie występy cyrkowo-akrobatyczne braci Pawлуśkiewiczów: Michała (Michał Aldini albo Monstrum z Nowego Targu) i Ziomka – ubranych w trykoty atletów. Najlepiej przyjęta była parodia Niemena „Czemuś taka wymięta”, wykonana jeden jedyny raz – dodaje Kalinowski. – Potem występ drugi, w Zaścianku, gdzie z ramienia Komisji Kultury ZSP przyszedł oceniać nas Krzysztof Jasiński – pochwalił muzykę i piosenki Marka i, o dziwo, mnie za dykcję, porównując do Kazimierza Rudzkiego. Wtedy też Grechuta znalazł piwniczną salkę w akademiku na Miasteczku Studenckim – 5 na 6 metrów. Ściany wyłożone były bambusem – stąd nazwa „Bambuko”. Własnym sumptem „zorganizowaliśmy” trochę desek z pobliskiej budowy, Janek Pawлуśkiewicz zrobił w tej małej salce amfiteatralną widownię dla 50 widzów. Malutka scenka, także wykonana przez Janka, pianino, wzmacniacz, reflektor, mikrofon, ja namalowałem dekoracje. I tu odbył się nasz pierwszy prawdziwy występ. Po pierwszych próbach skryształizował się profil: żarty, wygłupy, purnonsens – przemieszane z liryczną piosenką. – Marzec 1968 roku, polityka była daleko – kontynuuje – chcieliśmy się sami bawić i bawić innych. Salka zapchana, pierwsze dźwięki „Tanga Anawa”. Akustyka świetna. Nastrój niebiański. Po „Tangu Anawa”, ja, czyli konferansjer i właściciel firmy, witam widzów. Mamy już drugiego skrzypka, osiemnastolatka, Zbyszka Wodeckiego. Jest Tadzio Dziedzic, student architektury, z gitarą. Marek ze swoim wspaniałym głosem i urokiem cherubina zachwyca nie tylko dziewczyny. Marek Czuryło rozśmiesza swoimi monologami. Adaś Pasternakiewicz, urodzony aktor, parodysta, jako „Samotny Myśliwy” w jednoaktówce, sztuczce napisanej przez nas rymem częstochowskim, wywołuje paroksyzmy śmiechu, mówiąc na przykład: „Dobra panna, jak dziewanna, lecz mężatka, większa gratka. Nie ma większej gratki, dostać od mężatki”. Janek ma też swoje numery śpiewane – stare przedwojenne tanga „Inez” i „Znam bajkę jedną” – co wzbudza szalony entuzjazm, zresztą do dziś ma to w swoim repertuarze.

I jeszcze raz wspomnienia współzałożyciela Anawy:

– Bracia Pawлуśkiewiczowie młodszy robią swoje sztuczki cyrkowo-atletyczne. Najstarszy jest Janek, o rok młodszy Michał, potem jest Ziomek, a był jeszcze najmłodszy Piotrek, ale nie występował. Pierwsze programy: „Pójdź. Pójdź”, „Jak stałem się piękny”; nazwy trzeciej premiery nie pamiętam. Po dwudziestu paru programach pozbyto się nas z „Bambuko” – pomieszczenie było potrzebne jako rowerownia. Przenieśliśmy się wtedy do Teatru 38 w Rynku, gdzie mieliśmy do dyspozycji salkę teatralną z prawdziwą sceną. Publiczność niemal oszalała na naszym punkcie, wywołując w nas niejako reakcję zwrotną – daliśmy z siebie wszystko, zachwyceni i sobą, i rozbawioną, wpływającą na nas publicznością.

Jednak w Teatrze 38 coś się zmieniło. Przestało nas to cieszyć. Marek Czuryło wyjechał z Krakowa po zrobieniu dyplomu – straciliśmy źródło nieustającego optymizmu. Równocześnie rozwijała się niezależnie od kabaretu kariera muzyczna Marka i Janka. Powoli drogi kabaretu i zespołu muzyków rozchodziły się. Nawet nie wiadomo, kiedy kabaret przestał istnieć, za to rozblęśla gwiazda Marka Grechuty i zespołu Anawa.

Początki Anawy wspominał przed kilku laty znany artysta Zbigniew Wodecki, którego – wtedy ucznia klasy drugiej średniej szkoły – do zagrania w tworzącym się kabarecie namówił Grechuta:

– Przyszedł taki blondynek w szarym płaszczyku, szukał skrzypka i wiolonczelistki. Ani przez chwilę nie wahalem się, to była bardzo atrakcyjna odskocznia od szkolnej nudy. „Prześliczną wiolonczelistką” była koleżanka ze szkoły Ania Wójtowicz. „Bambuko” to był fantastyczny czas. Salka na 60 osób, a wchodziło ponad sto. I wszyscy palili. Janek Pawлуśkiewicz na kartkach pisał krótkie temaciki do „Serca”, do „Tanga Anawa” i myśmy z tych karteczek grali. Byłem najmłodszy w zespole, motywowała mnie bliskość widzów siedzących pół metra ode mnie. To był zwariowany kabaret; koledzy w prześcieradłach wyglupiali się, wymyślając jakieś karkołomne scenki, absurdalne dialogi. Było jak w „Tangu Anawa” – „teatr to dziwny, teatr jedyny, gdzie sens, gdzie treść, czort jeden zna...”. Janek śpiewał dawne tango „Inez”, rozrywając na sobie koszulę... Marek Grechuta, jak podkreślają członkowie kabaretu, był sporej miary kawalarzem, lubił się wyglupiać i parodiować na przykład Niemena, tworząc do piosenki „Czy mnie jeszcze pamiętasz” swój tekst: „Czemuś taka wymięta/ gdzie wymięłaś się tak/ czy jak inne dziewczęta/ lubisz sypiać w ciuchach...”.

Kabaret Anawa w 1968 roku zdobył I miejsce na Festiwalu Kabaretów w Cieszynie, pokonując m.in. literacki kabaret UJ późniejszego posła Andrzeja Urbańczyka. Lata 1967–1971 to narodziny wielu przebojów, popularnych do dziś. Pawлуśkiewicz i Grechuta, kompozytorzy, sięgali po liryki m.in.: Wyspiańskiego (*Wesele*), Gałczyńskiego (*Ocalić od zapomnienia*), Mickiewicza (*Niepewność*), Witkiewicza (*Hop szklanę piwa*) oraz Grechuty (*Będiesz moją panią, Świecie nasz*). Już w 1967 roku, podczas Studenckiego Festiwalu Piosenki ich *Tango Anawa* zostało uznane za najlepszy utwór konkursu, a Grechuta zdobył drugie miejsce, ustępując tylko Maryli Rodowicz. „Teatr to dziwny, teatr jedyny/ w nim przedstawienie wiecznie trwa/ pogromcy zwierząt i arlekin/ i szal iluzji Anawa” – śpiewał Marek

Grechuta o pionierskich latach kabaretu w Tangu Anawa, w swym pierwszym wielkim przeboju.

STEFAN FRIEDMANN

To już jest klasyk polskiej sceny kabaretowej, jak i rodzimej satyry. Miejscem debiutu kabaretowego tego popularnego aktora i błyskotliwego humorysty był bowiem w latach 60. minionego wieku kabaret studencki Uniwersytetu Warszawskiego „Jamnik, pies cynicki”.

– W tamtych czasach – a były to lata 60. – w szarości i smutku Polski Ludowej, w skrócie PRL, kabaret był miejscem radości i buntu. Mam na myśli oczywiście kabaret studencki. Występować w nim było zaszczytem i dumą – wspomina w rozmowie. – No to wystąpiłem. Najpierw w „Jamniku, psie cynickim” na Uniwersytecie Warszawskim, mieszczącym się w piwnicy uniwersyteckiej. Pod okiem prawdziwego reżysera Janka Skotnickiego. Z przyszłą sławą Stodoły i STS-u Janem Tadeuszem Stanisławskim, późniejszym profesorem mniemanologii stosowanej w radiowej Trójce. Niestety, czas wypłukał mi z pamięci jakiegokolwiek teksty z tamtego programu. Ale musiały być mądre, bo uniwersyteckie. Może właśnie dlatego nie pamiętam.

Potem młody student polonistyki Wojtek Młynarski za namową swojej siostry Barbary, studiującej aktorstwo, zaprosił młodego Friedmanna do kabaretu w Hybrydach. To tak, jakby teraz dostać angaż w Hollywood. Kabaret był studencki, a Friedmann dopiero licealny. To był początek kariery artystycznej powszechnie lubianego satyryka i artysty kabaretowego.

Zaledwie licealista, wykorzystując wrodzone zdolności i talent po rodzicach aktorach („poczucie humoru wszelako wyssałem z mlekiem ojca”, jak zwykł mawiać artysta), wkrótce stał się tam gwiazdą.

– Śpiewałem, mówiłem, tańczyłem, a nawet sam zacząłem pisać. W tym czasie byłem członkiem niezwykle popularnej rodzinki radiowej „Matysiakowie”. Bezkonkurencyjnego serialu radiowego. Nie znano jeszcze seriali telewizyjnych. Prawdopodobnie dlatego, że nie istniała jeszcze telewizja.

I dodaje (cytuję jego książkę *70 lat mojego dzieciństwa, czyli niech pan powie coś wesolego*):

– Wygranie castingu do roli Gienka, ulubieńca słuchaczy z racji robienia sobie żartów i ogólnej wesołości, zaliczam do swoich największych sukcesów zawodowych. Ja, krakus z dziada pradziada, mówiący krakowską gwarą kibic Cracovii, potrafiłem zmienić się w typowego warszawskiego młodego cwaniaczka, w dobrym tego słowa znaczeniu. Potrafiłem mówić po warszawsku i tak się zachowywać. Niestety, na wiele lat przestałem się nazywać Stefan Friedmann, jak miałem w metryce, i dla całej Polski i Polonii za granicą byłem Gieniem Matysiakiem. Miałem lat piętnaście.

Młody Friedmann jeździł na festiwalu studenckim z podrobioną ulgą studencką, dostawał nawet na nich nagrody. W Łodzi na przykład radio Koliber, niezwykle na owe czasy osiągnięcie elektroniczne. Kieszonkowe, ale mieściło się z trudem w plecaku.

– Festiwal w Istambule wspominam czule. Jechaliśmy trzy dni – przywołuje z „miękkiej” pamięci anegdotę związaną ze studenckim kabaretem Hybrydy: – Dostaliśmy na dwa tygodnie 7, słownie, siedem dolarów. Myślałem tylko o jednym. Jaka jest ta słynna coca-cola. Był rok 1964. Ledwie pociąg puścił parę na dworcu w Stambule, wyskoczyłem do bufetu i kupiłem słynny amerykański napój. Wydałem 5 dolarów. Był tak słodki, a upał wręcz niemożliwy, że za resztę diety piłem zwykłą wodę sprzedawaną na ulicach. Zostałem bez grosza. Miałem tylko do sprzedania kryształowy wazonik, który w hotelu okazał się, niestety, pęknięty. Na festiwalu sukces. Nasza, czyli Janusza Krasieńskiego „Śmierć na raty”, dostała nagrodę. Zwiedzanie Turcji. Zawsze uważałem, że teatr powinien być blisko życia.

W jednym z miasteczek graliśmy po polsku dla tłumu, chyba pasterzy. Ponieważ nie łapali finezyjnego dialogu, zacząłem go wzbogacać sytuacjami pantomimicznymi. To był strzał w dziesiątkę. Pytałem partnera na przykład, czy sprzedał kryształ. Dużo dali? Albo: po ile tu kozy? Kiedy po raz piąty wylałem partnerowi w celi, a rzecz działa się w pierdłu, zupę na głowę, publika ze śmiechu spadała z drewnianych ławek. – Masz szczęście, że nikt nie rozumiał, oznajmił opiekun z ramienia ZSP. Po tych słowach drzwi za kulisy się otworzyły i stanęło w nich dwóch gości w ciemnych garniturach. – Zdrastwujcie! Ten z ZSP osuwa się na ziemię. A oni, że mocna sztuka, nowoczesna. I że wam to cenzura puściła... No, no, maładcy!

– W Polsce marzeniem były chałtury, czyli koncerty wyjazdowe. Kiedyś nie mogłem pojechać z powodu dużej gorączki. Miałem ją jeszcze większą z zazdrości, że koledzy zarabiają po stówie, a ja się pocę w łóżku. Stawki nie były wygórowane. A tu telefon. Musisz przyjechać natychmiast. Zamknęli nas w remizie, bo przyszli tylko zobaczyć Gienka Matysiaka. Czyli mnie. Trzeba było ratować kabaret. Zawiózł mnie Andrzej Gieysztor rajdowym trabantem. Tłum oczekiwał

już na drodze. W środku oglądano mnie z każdej strony. Nie było jeszcze telewizji. W pewnym momencie jakiś beczelny spytał: – Jak jesteś Gienek, to powiedz, komu Stasiak, czyli mój brat radiowy, sprzedał trąbkę? Katastrofa! Nie wiedziałem, bo akurat nie brałem udziału w tej audycji. Z trudem uszliśmy z życiem – popularny aktor przytacza anegdotę związaną z Hybrydami.

– Młodość artystyczną spędziłem w kabarecie. Na próbach, przedstawieniach, wyjazdach. Występowałem potem w Studenckim Teatrze Satyryków, teatrze niemal zawodowym. W kabaretonach, na festiwalach i w skromnych domach kultury. Tak zwiedziłem całą Polskę, poznałem wyjątkowych ludzi i spędziłem najpiękniejsze dni swojego życia. – Panie, Panowie! Człek musi jeść, pracować oraz pić, do tego służy kabaret, żeby czasami żyć! Żyłem! – mówi urodzony w Krakowie we wrześniu 1941 roku satyryk, wyjaśniając przy sposobności: – Wziąłem się z miasta o bogatych tradycjach kabaretowych. No i piłkarskich. Takim miastem był oczywiście Kraków. A ponieważ mieszkalem nieopodal Kałuży [ulicy Józefa Kałuży – AD], to musiałem kibicować Cracovii, ale od lat kibicuję również i stołecznej Polsce.

Futbolowa pasja zaowocowała występami Friedmanna w Reprezentacji Artystów Polskich: „Nie zapomnę meczu z księżmi. W starciu o piłkę sfaulował mnie młody kleryk. Leżę i jęczę, on nachyla się: – Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi? – Dawno – wykrztusiłem z bólem. – To ja cię rozgrzeszam. Wstawaj, gramy!”

W czasach Stodoły Jan Tadeusz Stanisławski, przyszedł profesor mniemanologii stosowanej, na sławnym stołecznym basenie Legii, opisanym przez Agnieszkę Osiecką w *Szpetnych czterdziestoletnich*, wraz z Młynarskim i Friedmannem tworzyli najchudsze trio świata. „Na nasz widok mówiono: o idą, kabaretowe dzieci z Oświęcimia!” – uśmiecha się Friedmann. Z jego nazwiskiem kojarzy się najlepsza rozrywka radiowa – słynny ITR oraz Ilustrowany Magazyn Autorów. Z Jonaszem Koftą stworzył bowiem niezwykły satyryczno-komediowy duet (*Dialogi na cztery nogi i Fachowcy*), z niezapomnianymi tekstami w rodzaju: „Na ławce rozmawia się bardzo dobrze. Zwłaszcza kiedy ławka jest świeżo malowana, a rozmowa się klei” oraz „Kij ma dwa końce, a tydzień tylko jeden”.

W jego długiej biografii artystycznej, którą rozpoczynał jako pachole w wieku zaledwie 9 lat w *Marii* Malczewskiego w radiu, zdarzyły się i nadal zdarzają się różne ciekawe wydarzenia. Ponad 80 ról w filmach fabularnych, kilkanaście seriali, z jedną rolą główną

– detektywa Bednarskiego, praca w teatrach: Współczesnym, Komedii i Bajce w Warszawie. Zdarzały się popularnemu artyście reżyserie komedii teatralnych, granie postaci scenicznych w farsach i sztukach poważnych, chociażby w Płocku, Poznaniu, Cieszynie, jak i w stolicy oraz reżyseria sztuk dla dzieci, wystawianych w wielu teatrach i nawet nagradzanych na festiwalu w Rosji.

Stefan Friedmann jest również autorem kilku książek, żeby chociażby wymienić *Dzieła zebrane*, *Krzywym okiem*, jak i książek satyrycznych i płyty satyrycznej, na której znalazły się m.in. piosenki: *Cienki Bolek*, *Dziadek Prokop robi podkop*, *Przemysłowa straż*, *Jak pies w studni*, *Country, country to mój kraj*. Jest autorem genialnego tekstu *Teściowa*, monologu w równie genialnym wykonaniu Janusza Gajosa.

– Ale główną moją miłością jest i będzie radio – mówi z głębokim przekonaniem. – Współtworzyłem rozrywkę Trójki Ilustrowanym Tygodnikiem Radiowym, Ilustrowanym Magazynem Autorskim. Tam powstały wspólnie z Jonaszem Koftą „Dialogi na cztery nogi”, „Fachowcy” czy też mój „Globtrotuar”. Za te żarty w klapie błyszczy mi dumnie Złoty Mikrofon. Potem stworzyłem radiowy „Korek”, który „wystrzelił” dopiero po 16 latach. Uprawiam tak zwaną wielopolówkę, dlatego nigdy się nie nudzę i kocham to, co robię. Ale na początku... na początku był kabaret. Zakończę słynną, nieprzemijającą, bo aktualną sentencją wierszowaną z naszych „Fachowców”: „(...) Przez cały kraj, idziemy dwaj/ Czy słońce, czy śnieżek czy ślota/ Niezbędna jest czy ktoś chce czy nie/ W pionie usług fachowa robota/ Czy to sens ma kłąć, że ten świat/ Z kiepskiego zrobiony surowca/ Bo dobry Bóg już zrobił co mógł/ Teraz trzeba zawołać – FACHOWCA! (...) Dziękuję. Proszę nie pukać. Zakład nieczynny z powodu, że jest zamknięty”.

Stefan Friedmann często mówi, iż poczucie humoru wyssał z mlekiem ojca, Mariana, który był znakomitym aktorem komediowym.

– Tata był niesłychanie dowcipnym i lubiącym robić żarty człowiekiem – wyjaśnia. – To właśnie on jest autorem zabawnej anegdoty teatralnej. Kiedy dyrektor Teatru Współczesnego dziękował aktorom za współpracę, krótko mówiąc rezygnował z ich udziału, miał taki zwyczaj – wzywał ich do gabinetu po kolei, reszta czekała na korytarzu, jak na egzaminie. Tataś był bardzo lubianym człowiekiem, więc gdy wezwał go do siebie Erwin Axer, wszyscy czekali w napięciu na wiadomości, co z nim będzie. Gdy tata wyszedł z gabinetu, rzucili się w jego stronę: – Mów, Marian, jak? Tataś na to: – Słuchajcie, Axer odchodzi. Tamci zdziwieni: – Jak to, Axer? Dyrektor odchodzi? – No tak, powiedział do mnie: panie Friedmann,

będziemy się musieli rozstać... Tata po tym dowcipie został do końca życia w tym teatrze.

Popularny aktor jest wręcz od pacholęstwa bohaterem wielu anegdot, a swój pierwszy utwór rymowany napisał jako uczeń szkoły podstawowej w czasie kolonii letnich. Był to czterowiersz: „Na koloniach jest morowo, każdy pływa fasonowo, a kucharki srają w garnki, później mówią, że to skwarki”. Jako że zaprezentował go podczas kolonijnego ogniska w obecności – o zgrozo – kucharek, a co gorsza wizytatora, został w trybie natychmiastowym odesłany do domu.

We wspomnianej autobiograficznej książce Stefan Friedmann przekornie tłumaczy, iż miłość do teatru wcale nie była zasługą jego ojca Mariana, popularnego wówczas w podwawelskim grodzie aktora. W krakowskim bowiem Teatrze Bagatela kilkunastoletni Stefan któregoś dnia obejrzał radziecką sztukę dla młodzieży *Syn pułku*, w której główną postać zagrał młody chłopak, jeszcze nie aktor, ciut jak wspomina satyryk odeń starszy: nie kto inny jak młody Roman Polański odgrywał wtedy tytułową rolę!

Wesołek i bazarz, dusza każdego towarzystwa, jak sam o sobie mówi, w latach 90. ubiegłego wieku zrealizował razem z Krzysztofem Jaroszyńskim „Magazynio”, bardzo popularny w owych latach program rozrywkowy, w którym m.in. występował młody Cezary Pazura. Friedmann zaprezentował w nim wraz z młodszym kolegą dowcip z dużą dawką inteligencji, doprawiony niebagatelną wyobraźnią i nutą absurdu. „Wiek kury poznają po zębach. – Coś ty, przecież kura nie ma zębów. – Ale ja mam”.

Andrzej Domagalski